

==> BOGATY DOM <==

To nie bajka. To prawda.

To nie bajka. To jest prawda o pewnym chłopaku.

Zaczynam tak.

Był bogaty dom...

SALON, POKÓJ SPOTKAŃ
TOWARZYSKICH

A więc był bogaty dom. Stał na ulicy Miodowej w Warszawie, niedaleko placu Zamkowego. Miał siedem pokoi – gabinet, salon, jadalnię, bawialnię, sypialnię, pokój dziecięcy i pokój babci. W każdym pokoju stały rzeźbione meble wyściełane pluszem, w oknach wisiały grube, aksamitne zasłony, a na podłodze leżały puszyste dywany.

Oprócz tego w domu była też kuchnia, spiżarnia, łazienka, toaleta i pokoje dla służby. Wszędzie stały małe stoliczki, zgrabne komody, wygodne fotele, kanapy i sofy. Dom był pełen stojących i wiszących zegarów, które wydzwaniały kolejne godziny. I lamp naftowych – bo ponad sto trzydzieści lat temu, kiedy zaczyna się nasza opowieść, nie znano jeszcze elektryczności.

W tym bogatym domu mieszkał adwokat, pan Józef Goldszmit, razem ze swoją żoną Cecylią, córką Anną i teściową, czyli babcią Emilią. W roku 1878 albo 1879, kiedy Anna miała trzy lub może cztery lata, urodził się jej brat. Nazwano go Henrykiem po dziadku lekarzu.

Henio był bardzo miłym chłopcem. Cichym, spokojnym, łagodnym. Często się zamyślał. Kiedy miał już tyle lat, że mógł bawić się sam w pokoju dzieciennym, najchętniej wyciągał klocki, z których budował całymi godzinami.

– Nie nudzą ci się te klocki? – pytała go bona panna Marysia.

– Nie – odpowiadał krótko Henio i bawił się dalej.

NIAANIA, OPIEKUNKA
DŁ DZIECI

(z Tac. adwokat - użył na pomoc) PRAWNIK, KTÓRY
WYSTĘPUJE W IMIENIU KLIENTA PRZED SĄDAMI I URZĘDAMI

- On się niczym innym nie interesuje! - martwiła się pani Cecylia.
- Babciu, ja cały świat układam z moich klocków - zwierzał się czasem chłopiec pani Emilii.
- Filozof z ciebie - śmiała się babcia i porozumiewawczo puszczała do Henia oko.

Bona, panna Marysia, dbała o to, żeby Ania i Henryk mieli czyste ubrania, ręce i uszy. Pilnowała też, żeby zjadali dokładnie wszystko z talerzy, nie wybrzydździ i łykali regularnie tran. Obrzydliwy był w smaku, więc dzieci robiły, co mogły, żeby uniknąć codziennej porcji tej „ważnej mikstury”. Niestety, pod czujnym okiem panny Marii było to zupełnie niemożliwe.

- Dopóki ja tu jestem, będę dbać o wasze zdrowie, czy tego chcecie, czy nie - mówiła i stanowczym ruchem podawała dzieciom łyżkę wypełnioną po brzegi gęstym, żółtym płynem.

- Błę, cuchnie zdechłymi rybami - wstrząsała się Ania.

A Henio nic nie mówił, tylko zastanawiał się, czy panna Marysia też codziennie musi zażywać tę miksturę? I, właściwie, dlaczego dzieci muszą być zdrowe, a dorośli nie?

Kiedy była ładna pogoda, bona wybierała się z dziećmi na spacer do Ogrodu Saskiego. Szli uliczkami, po których jeździły tramwaje konne.

- Nie biegaj! To nie wypada panience - strofowała Anię panna Marysia. - Nie podskakuj! - upominała Henia. - Zachowuj się porządnie. Dzieciom podobał się Ogród Saski. Był w nim staw, po którym pływały bielutkie łabędzie, była pijalnia wód mineralnych z fontanną, a wzdłuż alejek rosły wielkie drzewa i stały greckie posągi. Panna Marysia miała tam swoją ulubioną ławeczkę, na której zawsze siadała. Sadzała obok siebie Anię z jednej, a Henia z drugiej strony i kazała się im grzecznie

zachowywać. Przed bramą do ogrodu stał dozorca, który pilnował, żeby do środka nie wchodził nikt, kto ma biedne ubranie. Henio siedział cichutko na ławeczce obok swojej bony, machał nogami i patrzył tęsknym wzrokiem na dzieci, które biegały za bramą Ogrodu.

– Nie gap się na nie – strofowała chłopca panna Maria. – Nie możesz się z nimi bawić.

– Ale ja bym tak chciał... – prosił Henio.

– Ten chłopiec nie ma ambicji! – martwiła się pani Cecylia, gdy bona opowiadała jej o marzeniach synka. – Jemu wszystko jedno, co je, jak się ubiera, czy bawi się z dziećmi ze swojej sfery, czy z biedotą. Nie wstydzi się nawet bawić z małymi!

– Toż to gapa i mazgaj nam rośnie! – denerwował się pan Józef.

– Ależ nieprawda! – broniła chłopca babcia. – On jest mądry i wrażliwy. To dobre dziecko.

– Za dobre – burczał pan Józef. – Nic z tego chłopaka nie będzie – oznajmiał złowrogo i zamykał się w swoim gabinecie.

————— » COŚ POŻYTECZNEGO <—————

Od kilku dni padało. Rzęsisty deszcz zalał ulice, zmoczył drzewa, trawniki, rozmiękczył ziemię.

– Czego ty tam tak wypatrujesz przez to okno, Henryku? Zająłbyś się czymś pożytecznym. – Bona od rana miała zły humor.

– Chciałbym pójść na spacer, do Ogrodu Saskiego. Zobaczyć, jak tam teraz jest.

– Chcieć to ty możesz jeść. Dzieci i ryby głosu nie mają. Nie widzisz, że pada?

- Widzę, ale nudno tak siedzieć w domu...

- Toteż mówię, żebyś zajął się czymś pożytecznym.

Henio pomyślał, że zupełnie nie rozumie, dlaczego panna Maria się gniewa. Przecież on zajmuje się właśnie czymś bardzo pożytecznym. Patrzy przez okno i zastanawia się nad tym, co dzieje się po jego drugiej stronie. Na przykład: taki deszcz. Dlaczego pada? Skąd leci? Jak to się dzieje, że w niebie jest tyle wody? I gdzie podziało się słońce? Ale nie chciał denerwować bony jeszcze bardziej, nic więc jej nie powiedział.



... ..



PLAN PRZEBUDOWY ŚWIATA

Któregoś dnia Henio zwierzył się pani Emilii.

– Babciu, ja wymyśliłem plan przebudowy świata.

– Tak? A cóż to za plan?

– Bo wszystkiemu winne pieniądze. Trzeba je wyrzucić. Wtedy nie będzie dzieci brudnych, obdartych i głodnych, z którymi nie wolno się bawić.

– Hm... Ciekawy pomysł... – uśmiechnęła się pani Emilia. – A co potem z tymi wyrzuconymi pieniędzmi?

– Nie będzie ich. I wszyscy będą wreszcie tacy sami. Dorośli i dzieci. Bogaci i biedni. Polacy i Żydzi.

– A cóż ci przyszło do głowy? Przecież jesteśmy tacy sami!

– Nieprawda! Tata ciągle powtarza, że dzieci i ryby głosu nie mają. Dorośli mogą mówić, ile tylko chcą i co chcą. A dzieci są jak ryby. Mają cicho siedzieć.

– To tylko takie powiedzenie, Heniu.

Chłopiec się zamyślił.

"DZIECI!
DUPNE MIĘCIE
ZAMIARY, GÓRNE
MIĘCIE MARZENIA
IDĄCIE DO SŁAWY, COŚ
Z TEGO ZAWSZE SIĘ
STANIE" - Y. K.

- To dlaczego jest tak, że ja mogę wchodzić do Ogrodu Saskiego, a inne dzieci nie? I dlaczego nie wolno mi się z nimi bawić?
- Trudne zadajesz pytania, Heniu... Tak już jest na tym świecie i chyba nie nam to zmieniać.
- Dlaczego nie nam? A jak my tego nie zmienimy, to kto?
- Heniu, dobrze, że jesteś wrażliwy na biedę i niedolę innych, ale my naprawdę nie mamy na to wpływu.
- A nie uważasz, babciu, że najlepiej jednak byłoby wyrzucić pieniądze?
- A ty znowu swoje. Mój ty filozofie! - zaśmiała się babcia i przytuliła Henryka.

>> ————— TAKA SAMA ZABAWA ————— <<

Zbliżały się ostatnie dni lata. Jakby na pożegnanie obdarowały Warszawę upalnym słońcem.

- Zabieram cię na wycieczkę, Henryku - powiedział nieoczekiwanie pan Goldszmit.
- Dokąd?
- A, na drugi brzeg Wisły.

Henio nie pytał, co tam będą robić, bo domyślał się, że ojciec pewnie znowu jedzie do tych przyjaciół, którzy na przeciwległym brzegu rzeki mieli dworek. Był tam już wcześniej i wynudził się okropnie. Siedział cały dzień na kanapie w saloniku. Kazali mu być cicho, bo dorośli mają ważne sprawy, rozmawiają, grają w karty, a on ma nie przeszkadzać. „Skoro przeszkadzam, to może lepiej, żeby mnie w ogóle nie było?” - myślał rozżalony Heniek.

- Tato, ja chciałbym nie jechać... - powiedział nieśmiało.

– Jedziesz i nie ma dyskusji. Poczekaj, aż urośniesz. Wtedy będziesz mógł coś chcieć.

Żeby przepłynąć na drugi brzeg rzeki, trzeba było płynąć tratwą. Okazało się, że flisak znał pana Józefa.

– Witam uniżenie szanownego pana! – wykrzyknął, gdy Henryk z ojcem weszli na tratwę.

– A cóż to znowu?! – zdziwił się pan Goldszmit. – Co pan tu robisz?

– Żyję z Wisły. Wydobywam piasek, łowię ryby, najmuje się za flisaka na tratwach. Ciężko czasem... Ale co tam.

– Heniu, nie wychylaj się tak, bo wpadniesz do wody! – krzyknął nagle pan Józef.

Flisak się zaśmiał.

– Ten pana chłopak to prawie jak mój Felek! Gdyby łaskawy pan zechciał, ugościłbym w mojej chacie. Żona ryb nasmażyła, com je rano złowił, tobyście pojedli. A Felek pokazałby chłopakowi, co i jak. Mieliby zabawę.

– Dziękuję za zaproszenie, ale jesteśmy już umówieni.

Henio chwycił ojca za mankiet marynarki.

– Tato, proszę, pojedźmy do domu tego pana.

– Henryku, mówiłem ci już tyle razy, że dzieci i ryby głosu nie mają. Milcz, jak rozmawiają dorośli.

– Do mnie tam czasami ryby gadają, jak je łowię – powiedział flisak, uśmiechając się porozumiewawczo do Heńka. – Wiem, że łaskawy pan się spieszą, ale na małą rybkę wstąpić do starego flisaka nie zawadzi.

– No dobrze. – Goldszmit machnął ręką. – Wejdziemy do pana na chwilę.

CZŁOWIEK ZAJMUJĄCY SIĘ SPŁAWIEM
(TRANSPORTEM) TORWARÓW RZECĄ

I w ten sposób Henryk poznał Felka – syna flisaka. Zaprzyjaźnili się od pierwszego podania ręki. Dłoń Felka była duża, szorstka, ale bardzo ciepła. Spojrzenie jego ciemnych oczu – wesołe, a zachowanie proste i przyjazne. Heniek był zaskoczony tym, że chłopak mieszka nad rzeką w ubogiej chatynie, w której nie ma eleganckich mebli, są tylko zwykłe, najpotrzebniejsze sprzęty. Zdziwiło go też to, że Felek nie ma bony, a jego mama sprząta, pierze i gotuje sama, bez kucharek i służących.

– Chodź nad rzekę – zawołał Felek. – Pokażę ci taaaaakie ryby.

– Ale... my sami? – Dla Henia była to zupełna nowość.

– A z kim? – zaśmiał się Felek.

– Muszę zapytać ojca, czy mogę.

– No to pytaj, byle szybko, bo ryby nie będą czekać!

Chłopiec podszedł nieśmiało do swojego taty.

– Henryku, zbieramy się – powiedział pan Józef, zanim jego syn zdążył otworzyć usta.

– Tatku, ale Felek zaprosił mnie nad rzekę...

– Na nas już czas, synu.

– A może szanowny pan zostawiliby u nas chłopaka? Pobawiłby się z moim, pohasał... – zaproponował flisak.

– Hm... Nie chciałbym sprawiać państwu kłopotu.

– Toć to żaden kłopot! Chłopaki duże, znajdą sobie zajęcie.

– Henryku, chcesz zostać? – Goldszmit spojrzał na syna.

To pytanie kompletnie zaskoczyło chłopca. Nawet nie marzył o takiej możliwości.

– Tak, tato! – wykrzyknął Henio.

- No to bądź grzeczny i zachowuj się jak należy. Przyjadę po ciebie wieczorem. - Józef Goldszmit klepnął syna po plecach, pożegnał się z flisakiem i jego żoną, a potem poszedł.

Henio po raz pierwszy w życiu został w obcym miejscu sam.

- To lecimy nad rzekę! - zawołał Felek.

Wisła była głęboka, porywista i pełna życia. Pływały w niej rozmaite ryby - liny, okonie, karasie, płotki; przy brzegu skakały żaby, a w siłowiu kręciły się rybitwy, sieweczki i kolorowe zimorodki.

- Umiesz puszczać kaczki? - zapytał Felek, który znalazł właśnie odpowiedni do tego kamień.

- Nie... A co to takiego?

- Zaraz ci pokażę. To proste. Musisz znaleźć płaski kamień.

- Taki? - Henio podniósł z ziemi obmyty przez wodę, owalny kawałek jakiejś skały.

- Może być. Teraz rzucasz, o tak. - Felek zamachnął się, a jego kamień wskoczył zgrabnie do wody i odbił się kilka razy, zanim zatonął. - Widzisz? Pięć razy skoczył! Im więcej, tym lepiej. Teraz ty. Henio rzucił. Starał się naśladować przy tym ruchy Felka, ale kamień wpadł z głośnym pluskiem do wody i zatonął od razu.

- Za pierwszym razem nikomu nie wychodzi. - Felek uśmiechnął się do rozczarowanego Heńka. - Spróbuj jeszcze raz. Pokażę ci, jak się musisz nachylić. Prawą nogę trochę wysuń. A teraz rzucaj!

Henio rzucił. Kamień poleciał ze świstem i odbił się kilka razy od tafli wody, zanim zatonął.

- Osiem razy! Wygrałeś! Jesteś mistrzem! - krzyczał Felek i skakał wokół oszołomionego Henia.

Ten dzień nad Wisłą pozostał w pamięci przyszłego doktora Korczaka jako najmiłszy z jego dzieciństwa. A Felka zapamiętał jako najwspanialszego kolegę.

– Felek – zapytał nieśmiało Henryk, gdy wracali znad rzeki do chaty flisaka – myślisz, że moglibyśmy się zaprzyjaźnić?

– Już się przyjaźnimy! – odparł chłopak.

– A nie przeszkadza ci, że ja jestem inny niż ty? Ty Polak, a ja – Żyd?

– I ty, i ja taką samą mieliśmy świetną zabawę, więc co za różnica między nami?

Henio uśmiechnął się i spojrzał w niebo. Było jasnoniebieskie.

Korczak próbował pisać. Siedział skupiony w swoim pokoiku i pochylał się nad zeszytem. Chodziła mu po głowie powieść dla dzieci o małym chłopcu, który został królem. Zastanawiał się właśnie nad pierwszym zdaniem, gdy ktoś otworzył drzwi i wpadł rozgorączkowany do środka. Doktor podniósł głowę. To Lejbuś.

– Co się stało? – zapytał wychowawca.

– Pandoktorze, Blumka mnie popchnęła i ja zrobiłem kleks w zeszycie! – zawiadomił chłopiec. I wyszedł, trzaskając drzwiami.

Korczak pokiwał głową i znowu pochylił się nad zeszytem. Właśnie pisał drugie zdanie, gdy drzwi ponownie się otworzyły. Weszła Krysia.

– Panie doktorze, czy ja mogę wziąć sobie do zabawy domino? – zapytała grzecznie.

Wychowawca skinął głową i wrócił do pisania. Ale drzwi ponownie się otworzyły. Pojawił się w nich zapłakany Jakubek.

– Zginęła mi chustka do nosa! – łkał rozpaczliwie.

– Poszukaj w szafce ze znalezionymi rzeczami. Może ktoś ją tam odłożył – poradził Korczak i pochylił się nad zdaniem, które przed chwilą napisał. Ale nie zdążył go do końca przeczytać, gdy drzwi się kolejny raz otworzyły i do pokoju triumfalnie wkroczył Józek.

– Znalazłem chustkę! – zawiadomił z dumą. – Leżała na parapecie. W tym momencie cierpliwość doktora się skończyła i na głowę Józka posypały się epitety:

– Ty próbo ogniowa mojej cierpliwości! – wołał Korczak. – Ty kamieniu węgielny mojej wytrzymałości! Ty chroniczny nekrologu mojego

złotego spokoju i wolności! – krzyczał, a Józek patrzył wielkimi ze zdziwienia oczami, z otwartą buzią.

– Koniec powieści. I tak nic nie napiszę – powiedział wreszcie Korczak i wyszedł z pokoju.

To jednak nie był koniec awantur tego dnia. Chaimek zostawił odkręcony kran i zalał całą podłogę w łazience.

– Uh, ty arcycymbale, ty ekstragamoniu! – nakrzyczał na niego Korczak. – Gniewam się na ciebie aż do kolacji – powiedział i rzeczywiście, przestał się do Chaimka odzywać.

– Panie doktorze, czy mogę wziąć piłkę? – zapytał nieśmiało chłopiec po obiedzie.

Doktor udawał, że nie słyszy.

Chaimek spuścił głowę i poszedł sobie, ale za chwilę powrócił z kolegą.

– Panie doktorze, czy Chaimek może wziąć piłkę? – zapytał w jego imieniu Aron.

– Powiedz mu, że może wziąć mniejszą piłkę, ale żeby jej nie kopał – odpowiedział wychowawca.

– Dobrze – uśmiechnął się nieśmiało Chaimek.

– Co powiedział? – zapytał Korczak Arona.

– On powiedział, że dobrze – wytłumaczył Aron.

– No to dobrze – doktor uśmiechnął się do Arona, a na Chaimka nawet nie spojrział.

"ELEKROĆ
ODŁOŻYWSZY
KSIĄŻKĘ, SNUJĄC
ZACZNIJESZ NIEC
WŁASNYCH MYŚLI,
TYLEKROĆ KSIĄŻKA CEL
ZAMIERZONY OSIĄGĄ"
J.K.

»————» < GODNOŚĆ I DWIEŚCIE DZIECI > «————«

Przez uliczne megafony nadawane było ogłoszenie: – Wszyscy Żydzi od lat dwunastu mają obowiązek nosić na prawym ramieniu białe opaski z niebieską gwiazdą Dawida.

Pani Stefa uszyła opaski dla siebie, doktora, starszych wychowanków i żydowskich pracowników Domu Sierot.

- Nigdy tego nie założę – powiedział stanowczo Korczak, który cały czas chodził w mundurze polskiego oficera.
- Doktorze, to jest absolutnie nierozsądne! – Stefania łapała się za głowę.
- Nie będę tego nosił i koniec! – uciął Korczak.

Ku przerażeniu pani Wilczyńskiej okazało się, że doktor nie tylko tak

się odgrażał. Chodził ulicami Warszawy w polskim mundurze, bez opaski, nie przestrzegając godziny policyjnej.

– Co mnie obchodzą te wszystkie zakazy i nakazy, jeśli dzieci nie mają jedzenia! – krzyczał. – Będę chodził, gdzie chcę i kiedy chcę! – I z wielkim workiem na ramieniu wyruszał na codzienne pielgrzymki do bogatych domów żydowskich i polskich, by prosić o pieniądze i żywność dla swoich wychowanków.

– Czy ktoś z państwa ma do odstąpienia dwadzieścia metrów kartofli dla moich dzieci? – pytał.

– Pan nie ma godności! – oburzali się nieraz w odpowiedzi.

– Godności? – uśmiechał się Korczak. – Rzeczywiście, nie mam godności. Ale mam dwieście dzieci – odpowiadał.

Gdy wracał po godzinie policyjnej do Domu Sierot z workiem wypełnionym żywnością na plecach i natykał się na patrole policyjne, udawał pijanego i zataczał się, śpiewając głośno.

– Wariat – śmiali się policjanci.

NA KOLONIACH

Nadeszło lato. Janusz Korczak kończył studia medyczne. Postanowił zatrudnić się gdzieś na czas wakacji. Wkrótce nadarzyła się wymarzona okazja. Warszawskie Towarzystwo Kolonii Letnich poszukiwało wychowawców na wyjazdy dla najbiedniejszych i najbardziej zaniedbanych dzieci żydowskich.

Udał się więc do Biura Kolonii Letnich, gdzie podpisał umowę oraz dostał ekwipunek z rzeczami, które miały mu się przydać w pracy.

Tak zaopatrzony stawił się na dworcu, gdzie już czekały dzieci. „Ciekawe – pomyślał, patrząc na nie – jak one są różne, chociaż wszystkie przecież biedne. Dlaczego ta bieda jest taka różna i jedne dzieci są czysto ubrane, umyte i uśmiechnięte, a inne brudne i zaniedbane... Jedne rozmawiają głośno, rozglądają się wesoło i śmiało, a inne lękliwie tulą się do matek. Jedne ktoś odprowadza, daje im na drogę ciastka, innych nikt nie odprowadza i nic na drogę nie daje...”

Do odjazdu pociągu pozostała godzina. Pożegnania z rodzinami. Wsiadanie do wagonów, przepychanie się i pośpiech. Wreszcie pociąg ruszył.

- Zgubiłem czapkę! – rozplakał się jeden z chłopców.
- Może tata znajdzie i da ci po powrocie. – Doktor Korczak próbował go pocieszyć.
- Zawsze któryś gubi czapkę – uśmiechnął się do Janusza starszy, doświadczony wychowawca. – Taki to już kolonijny zwyczaj!

Po przyjeździe na miejsce, podczas wysiadania z pociągu wszystko się powtórzyło. Znowu przepychanie, piski i krzyki. Przy dworcu czekało już dwanaście wozów drabiniastych.

- Wsiadamy ostrożnie! Uważajcie na nogi! – wołał Korczak, próbując ogarnąć swoją gromadkę. – Słońce nas wita, widzicie? Dziękujemy ci, dobre słońce, i lesie zielony, i łąko wesoła!
- Daleko jeszcze, proszę pana?
- Już zaraz będziemy na miejscu. Widzicie tam polankę, a na niej dom? To nasza Michałówka.
- Hura!!!

Po przybyciu na miejsce chłopcy dostali po kubku mleka, a potem nareszcie mogli się rozejrzeć. Wszystko ich dziwiło – że wieczorem trzeba myć nogi; spać samemu w łóżku (na dodatek przy otwartym oknie); rano myć zęby i uszy; a na obiad podawano dziwną, zieloną zupę. Pierwszego wieczoru jeden z chłopców się rozpłakał.

– Ja chcę do domu!

„Dlaczego chce do domu? Może głodny?” – zastanawiał się Korczak.

„Nie, nie jest głodny. Może mu zimno? Nie, nie jest mu zimno. Może boi się sam spać? Nie. Też nie. Ale w domu jest mama...”

– No, dobrze. Pojedziesz do domu. Jutro. Dzisiaj jest **szabat**, teraz trzeba spać – powiedział, a chłopiec uspokoił się i uśmiechnął. Zasnął pierwszy.

Następnego dnia dzień rozpoczął się od kłótni.

– Proszę pana, on się pcha!

– Proszę pana, on się kopie!

– Proszę pana, on nie daje siedzieć!

– Proszę pana, on mi dmucha w zupę!

– Proszę pana, on się pluje w ucho!

– Dosyć tego, moi drodzy! Zrobimy tak – uciszył ich Korczak. – Będzie sąd. Sprawiedliwy. Zajmie się rozpatrywaniem wszystkich spraw. Każdy może podać do sądu każdego – nawet wychowawcę, a także siebie samego.

– Ooooo! – zdziwili się chłopcy. – A kto będzie sędzią?

– Proponuję, żebyście sami wybrali spośród siebie trzech sędziów.

Ja będę sekretarzem – czyli tym, który wszystko zapisuje.

– Dobrze, to ja zgłaszam pierwszą sprawę. – Icek podniósł rękę.

W JUDYZMIE SIÓDMY,
ŚWIĘTY DZIEŃ TYGODNIA,
TRWAJĄCY OD PIĄTKOWEGO
DO SOBOTNIEGO ZACHODU
SŁOŃCA



- Jasek uderzył mnie w nogę kamieniem. Podaję go do sądu.
- A zatem robimy przesłuchanie - odpowiedział Korczak. - Josku, czy rzuciłeś w Ickę kamieniem?
- Nie.
- Nieprawda! Inni chłopcy widzieli, że ja się trzymam za nogę!
- Kłamiesz! Ja nie rzuciłem kamieniem!
- Czy Icek trzymał się za nogę?
- Trzymał się. - Jasek spuścił głowę.
- A to dlaczego?
- Bo on rzucił we mnie kamieniem! - wrzasnął Icek.
- Kamieniem nie! - rozplakał się Jasek.
- A czym? - zapytał Korczak.

- Tylko szyszką – wyszeptał chłopiec.
- Dlaczego?
- Bo miałem dużo szyszek i nie wiedziałem, co z nimi zrobić...
- Czy na pewno między szyszkami nie było kamieni?
- Nie wiem...

Sąd wziął pod uwagę młody wiek Joska i skazał go tylko na przeproszenie Icka.

Od tej pory codziennie odbywały się trzy, cztery rozprawy. Doktor Korczak był sekretarzem i obrońcą. Czasem też jednak musiał kogoś oskarżyć... Oto na ławce przestępców zasiedli na przykład Abramek i Chaimek. Poszli daleko za teren kolonii w pole i spóźnili się na śniadanie.

- Czy oskarżeni nie wiedzieli, że nie mają prawa sami wychodzić poza teren kolonii, bo mogą zabłądzić, utopić się w rzece, krowy mogą ich pobóść lub psy pokąsać? – zapytał Korczak prokuratorским tonem.
- My, my... nie chcieliśmy. Poszliśmy kwiaty zbierać – bąkali chłopcy.
- Panowie sędziowie! – kontynuował wychowawca. – Chłopcy ci zawinili niewątpliwie. Należy ich więc ukarać, a jednak... Poszli po kwiaty. Na wsi wolno zrywać kwiaty. Tak ich to ucieszyło, że zapomnieli o jedzeniu. W Warszawie kwiatów mało, więc... Więc może im przebaczyć?

Po krótkiej naradzie sędziowie uniewinnili oskarżonych Abramka i Chaimka.

Do późna w nocy w sypialni chłopców panował hałas. Rano każdy po kolei stawał przed sądem, żeby przyznać się, kto krzyczał, gwizdał, piał, szczekał, klaskał i tupał. Wszyscy zaprzeczali. Tylko

dwóch, których wychowawca złapał na gorącym uczynku, stało ze spuszczonej głowami.

– Jak ich ukarać, szanowni sędziowie? – zapytał Korczak.

– Kara musi być surowa! – wołali chłopcy.

– Zanim obmyślicie karę, musimy zadać jeszcze jedno pytanie: czy wczoraj na sali hałasowali tylko ci dwaj? Nie, było ich znacznie więcej. A dlaczego tylko dwóch z nich zostało przyłapanych? Bo nie umieli się ukryć. A dlaczego oni nie umieli się ukryć, skoro wszyscy inni się ukryli? Bo nie są doświadczonymi łobuzami albo nie wiedzieli, jak bardzo zabronione są krzyki w sypialni. Czy mamy więc prawo karać tych mało winnych, podczas gdy bardziej winni od nich, którzy sprytnie skłamali przed sądem, pozostaną bez kary?

Zaległa cisza.

– Otóż proponuję, aby tych dwóch uniewinnić, a całą grupę ukarać. Nie będzie dziś bajki wieczorem. A teraz się naradźcie.

Narada trwała długo i była bardzo burzliwa. W jej wyniku sąd uchwalił, że dwóch kolegów należy uniewinnić, a hałas się już nie powtórzy, byleby tylko bajka była.

I wszyscy dotrzymali słowa.

»————/////**PO DRUGIEJ STRONIE OKNA**/////**————«**

- Dzieje się coś niedobrego – powiedziała pani Stefa, wyglądając przez okno. – Jakieś wielkie poruszenie na ulicy...
- Niemcy likwidują getto, wywożą ludzi! – do domu wpadł zdenerwowany Heniek.

– Obiecali, że sierocińców nie ruszą – uspokajał Korczak. – Nic nam nie grozi.

Kolejne dni przynosiły jednak niepokojące wiadomości. Niemcy wywozili z getta po kilka tysięcy ludzi dziennie.

– Wiozą ich na wschód, do pracy – mówił Korczak. – W najgorszym razie, gdy i nam przyjedzie pojechać, jakoś będziemy się trzymać razem. Gorszego piekła niż tu tam na pewno nie będzie.

Ale do getta dochodziły też inne wieści. Niektórzy mówili, że to pociągi donikąd... Nikt jednak nie wiedział, co tak naprawdę się dzieje z tysiącami ludzi, którzy codziennie wsiadali stłoczeni do towarowych wagonów.

Ranek, w środę 5 sierpnia 1942 roku, zaczął się zwyczajnie. Zapowiadał się upalny dzień. Dzieci wstały, opłukały się w zimnej wodzie i zasiadły do skromnego śniadania w jadalni. Podano kawę zbożową i ciemny chleb. Nagle za oknem rozległy się krzyki i gwizdki żandarmów.

– Wszyscy Żydzi wyjść!

Korczak wstał zza stołu i poszedł zobaczyć, co się dzieje. Po chwili wrócił i poprosił dzieci, żeby zostawiły jedzenie i ubrały się do wyjścia. Pani Stefa spojrzała na niego, a potem bez słowa zajęła się przygotowaniami do drogi. Zapakowała niedojedzony chleb i wodę, kazała dzieciom założyć najlepsze ubrania i ustawiła je parami. Korczak wyjął sztandar Domu Sierot. Chwycił najmłodsze dzieci za ręce i poszedł z nimi pierwszy. Pani Stefa zamykała pochód, idąc z najstarszymi. Trzeba było przejść wiele ulic, aby dojść wreszcie na Stawki – czyli na Umschlagplatz. Tam tysiące ludzi czekały

na otwarcie pociągu. Po kilku godzinach stania w upalnym słońcu, krzykach, płaczach, rozstaniach i selekcjach, nagle tłum zafalował. Dzieci ustawiły się w szeregu i prowadzone przez doktora Korczaka włączyły się do pochodu idącego w stronę wagonów.

– Melduję posłusznie, że sierociniec Korczaka został załadowany – złożył raport swojemu przełożonemu jeden z funkcjonariuszy służby porządkowej.

Drzwi wagonów zamknięto i zaplombowano. W środku było ciasno i duszno. Korczak kolejno brał dzieci na ręce i przysuwał je do niewielkiego, zakratowanego okna, by zaczerpnęły powietrza.

Pociąg ruszył.

– Pamiętacie Amala, który czekał na list od króla? – zapytał doktor. Dzieci skinęły głowami.

– Ten list miał go uwolnić. My też czekamy na list. A może właśnie go otrzymaliśmy?

Po drugiej stronie okna jaśniało bezchmurne sierpniowe niebo.

